



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



PIELGRZYM I PACHOLE.

DAWNI NASI MALARZE.

(Dokończenie).

IV.

Przez pewien przeciąg czasu istniała w Warszawie szkoła sztuk pięknych, zniesiona w r. 1863 z której wyszło wielu artystów. Wprawdzie nie mogli oni na niej poprzestać, bo malarstwo tak samo jak inne sztuki, wymaga koniecznie wpa- trzenia się w arcydzieła mistrzów. Trudno bowiem iść dalej, nie wiedząc o tem, co inni przed nami zrobili, a żaden opis ani nawet rycina, chociażby najlepsza, nie da wyobrażenia o obrazie, gdyż idzie w nim nietylko o sam rysunek, ale także o barwę. Zawsze jednak szkoła warszawska dawała swoim uczniom dobre podstawy, a przytem młodzi ludzie chcący poświęcić się sztuce, mogli wypróbować w kraju swoje po- wołanie i zdolności. Podróże za granicę są zawsze kosztowne i nie każdy wyjechać może, a dawniej były jeszcze o wiele kosztowniejsze i bardziej utrudnione niż dzisiaj. Szkoła więc warszawska, przyłożyła się dzielnie do rozwoju sztuki u nas a uczniowie jej, rozszerzyli zamilowanie do sztuki. Z niej wyszedł Wojciech Gerson, jeden z głównych założycieli Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych. Towarzystwo to urządza ciągią wystawę rzeźb i obrazów, którą niezawodnie wielu z naszych czytelników zna dobrze i często zwiedza; wy- szło też z tej szkoły wielu artystów nieżyjących, których dzieła można na obecnej wystawie zwanej z francuska retrospektywną.

Byli w tej szkole profesorami między innymi Rafał Ha- dziewicz, twórca wielu obrazów religijnych. (Na wystawie jest jego św. Franciszek). Ksawery Kaniewski, dobry por- trecista, Jan Feliks Piwarski poprzednik Kostrzewskiego, umiejący rysować zabawne karykatury i doskonale chwycić typy współczesne sobie, na wystawie jest Piwarskiego chłop z dzbankiem. Te typy zmieniają się ciągle przy zmie- niających się warunkach, bo czy można było mieć wyobraże- nie np. o konduktorach tramwajowych, kiedy nie było tram- wajów albo o wioślarzach, cyklistach, łyżwiarzach, kiedy się wcale nie oddawano tym zabawom i nie istniały dzisiejsze stowarzyszenia. Naturalnie, że i karykatury musiały być od dzisiejszych odmienne. Naprzykład dawniej cukier wyrab- iano tylko z trzciny cukrowej, tymczasem chemia zrobiła odkrycie, któremu z początku nie wierzono, że z buraków można równie dobry cukier otrzymać. Napoleon I wynalaz- ek ten popierał w celach politycznych, zrobiono wówczas na- stępującą karykaturę: Mały król rzymski gryzł buraka, krzywiąc się najokropniej i mówił: „Papa powiada, że to cu- kier.” Karykatura taka dziś nie miałaby żadnego sensu i niktby jej też nie narysował, a wówczas śmiała się z niej cała Europa. Otóż karykatury Piwarskiego mają tę zaletę, że przedstawiają rzeczy i myśli dawno minione i dają nam wierny obraz ówczesnego społeczeństwa.

Pomiędzy zmarłymi już wychowawcami naszej szkoły sztuk pięknych trzeba wymienić Józefa Szermentowskiego, malował głównie krajobrazy (dwa znajdują się na wystawie). Dawniej zaś krajobrazy mniej niż inne rodzaje miały u nas powodzenia; jeżeli ceniono obrazy, to głównie z powodu scen jakie przedstawiały, bo taka scena każdego co ją widzi wzruszyć lub zająć musi. Któż np. patrząc na śmierć kró- lowej Barbary — najlepszy obraz Simlera — nie pożałuje tej pięknej, młodej, ukochanej przez męża kobiety, która umiera doszedłszy najwyższego stanowiska, uznana królową przez naród, umiera w chwili, gdy były spełnione jej wszystkie ma- rzenia, któż nie będzie współczuł z nieszczęśliwym Zygmun- tem Augustem, patrzącym na konanie umiłowanej żony? Otóż jest rzeczą naturalną, że przedmiot obrazu, wpływa bardzo na jego powodzenie, ale znowu doskonałe wykonanie nadaje wartość najwykolejszym scenom a nawet martwym rzeczom, tylko ażeby tę doskonałość ocenić potrzeba, już nie zwykłego ludzkiego współczucia, ale artystycznego znawstwa.

Znawstwa u nas było i jest nie wiele. Dzisiaj jednak krajobrazy są modne na całym świecie, więc i my je cenimy, za czasów zaś Szermentowskiego, krajobraz sam przez się nie nabył tego znaczenia, więc choć Szermentowski malował je prześlizgnie, w kraju nie znalazł uznania i co zatem idzie, chleba. Musiał wyjechać do Paryża pomimo, że bardzo za krajem tęsknił. Pragnął przynajmniej stworzyć sobie pol- skie ognisko domowe, ożenił się z Polką i malował zamiast mazowieckich równin, które kochał i rozumiał widoki z obce- go świata, chociaż byłby tak chętnie powtórzył za Brodziń- skim wracającym z podróży: „Wy brzozy i sosny! Drzewa mojej ojczyzny, witam was radosny.” Szczęście to danem mu nie było. Umarł za granicą w młodem jeszcze wieku.

Do najślawniejszych naszych malarzy należał także za- wcześnie zgasły Maksymilian Gierymski, brat żyjącego i bar- dzo także wysoko cenionego malarza Aleksandra; Maksy- milian nabył u obcych nadzwyczajnej sławy, obrazki jego dziś kupowane są na wagę złota i stanowią chlubę zbiorów, które je posiadają.

Wystawa zawiera także wiele utworów Andriollego, artysty i człowieka, który zostawił głęboki żal w sercach wszystkich tych, którzy go znali. Andriolli był znakomitym rysownikiem. Mickiewicz nie miał lepszego ilustratora. Umiał on na pamięć całego Pana Tadeusza, Wallenroda, Grażynę i do każdej sceny z tych poematów, dorabiał tem piękniejsze rysunki, że odczuwał je głęboko. Andriolli miał ojca Włocha, ale urodził się i wychował na Litwie, gdzie ożeniwszy się z Litwiną ojciec jego zamieszkał. Wszystkie prawie znakomite utwory naszych poetów ilustrował An- driolli, szczególnie udawały mu się sceny walk i bitew, tam pokazywała się najlepiej gorąca jego południowa natura.

Musiał być Andriolli doskonałym ilustratorem, skoro Francuzi, którzy mają tę zasługę, że najwięcej cenią swoich, powierzali mu kilka razy ważne prace i wzywali w tym celu do Paryża. Pomimo to artysta nasz powracał zawsze do ro- dzinnego kraju, bo tutaj pomiędzy swoimi było mu najlepiej. Do prześliznych prac jego należą rysunki objęte ogólnym tytułem: „Z wiejskich dworów“. Są to codzienne obrazki, przedstawiające zwykłe zabawy i zajęcia, dobrze znane wszy- stkim mieszkańcom wsi. To kolendnicy przyszli z gwiazdką na Boże Narodzenie, to organista przyniósł opłatki, to łamią się niemi przy wigili lub też dzielą jajkiem przy zastawionem święconem. To babcia z dzieckiem przy kominku, zasiadają do maryasza. A każdy z tych obrazków, przedstawia ludzi dobrych, zacnych, z którymi chciałoby się łączyć i opłatkami i sercem, bo z taką miłością narysował ich artysta, a jednak nie są to wcale wymarzeni bohaterowie, ale właśnie ci ludzie, codziennie spotykani, których on tylko głębi duszy rozumiał, wy dostał na jaw i odkrył przed okiem wszystkich.

A prozę nie sądzić, że Andriolli zatopiony w swoich rysunkach, zapominał o zwykłym życiu, przeciwnie, był on jak to mówią: i do różańca i do tańca, a wszędzie umiał być na właściwym miejscu i dawał sobie radę w najtrudniejszych okolicznościach. Posiadał bowiem zmysł praktyczny, stanowią- cy szczęśliwe dopełnienie talentu i charakteru, który pozwala najlepiej ten talent spożytkować. Miał też dar zjednywania sobie ludzi. A jeśli niektóre jego rysunki wywołują szczerą uśmiech na usta, lub wyciskają łzy z oczu patrzących, to dla tego, że twórca ich umiał zarówno śmiać się z wesołymi, jak smucić z tymi co płaczą.

Największym jednak rysownikiem naszym był zmarły przed paru dziesiątkami lat Artur Grotger. Posiadał on sprzeczne z pozoru przynioty: ogromną siłę gdy tego było potrzeba, a przytem nieporównany wdzięk i rzewność. Umiał przedstawiać w sposób tragiczny wielkie nieszczęścia ludzkie, ale nie sięgając tak wysoko, dość przejrzeć tękę drobnych obrazków i szkiców, zebranych pod tytułem *Silva rerum*, by poznać odrazu genialnego artystę: „Ślepy grajek” prowadzo- ny przez młodą dziewczkę, „Organista grający na chórze,” „Wiejskie chłopaki z kolendą,” „Piastunka opowiadająca straszną bajkę” dzieciom, które ją słuchają pełne przeraże- nia, są to bardzo zwyczajne rzeczy, a jednak napatrzeć im

się nie można. Piękniejszemi jeszcze są te rysunki co przedstawiają dramatyczniejsze sceny, jak rozstanie Zygmunta Augusta z Barbarą, albo też wrażenie wywołane widokiem komety, gdyż dawniej uważano, że ta niezwykła gwiazda, przynosi zapowiedź strasznych nieszczęść. My wiemy dzisiaj jakie prawa rządzą całym systematem słonecznym, wiemy, że obrachowano bieg komet, które peryodycznie w większym lub mniejszym okresie czasu, ukazują się na naszym horyzoncie, ale rodzina, którą przedstawił wielki artysta, spogląda na zjawisko pełna dawnej przecuciowej trwogi. Stara babka, ze złożonymi rękoma modli się gorąco, dziadek podparł głowę smutnie zadumany, młody człowiek patrzy na złowrogą gwiazdę z posępnym wyrazem i jakąś energią w twarzy, która mówi, że się nie ugnie przed złym losem; gdy żona niespokojne oczy wlepiała w twarz jego. Najbardziej jednak wymówną jest twarz młodej matki, która trwożnym wzrokiem obejmuje swoje niemowlę, lękając się tylko o niego.

Najpiękniejszym jednak z całej teki jest stary pielgrzym, wskazujący nakazującym ruchem młodemu pacholęciu, twarzą drogę wśród spieklej pustyni, pełnej ostrych skał, kolczastych roślin i ruin. Twarz starego pielgrzyma jest surową i nakazującą, pacholę patrzy z niewymownym wyrazem przed siebie, trzyma w złożonych rękach kostur z krzyżem u szczytu, znać w nim wolę podołania zadaniu, znać, że paść może ale się nie cofnie, chociaż bojaźnią przejmuje go ta straszna pielgrzymka. Jest tu prześliczna myśl, prześlicznie oddana.

Grotger jednak nie był oceniony zrazu, jak na to zasługiwał i całe życie walczył z trudnymi warunkami bytu. Umarł młodo a z nim zstąpił do grobu jeden z największych talentów obecnego wieku. Poznały się na nim tylko wyjątkowe jednostki, ale te oddały mu hołd zasłużony. Dzisiaj zaś imię jego jest sławne.

W. Marréne.

Dożynki.

Chociaż słońko jeszcze pali,
Z całej, bujnej zboża fali
Już ni słomki, ani kłoska;
Tylko cała wznosi wioska
Rażnej piosnki ton.
Już w stodole leżą zbiory,
Pierzchła groźba słotnej pory.
Teraz, Boże mój kochany!
Sama radość, pieśni, tany,
Plon niesiemy, plon!
Przodownica już ze skrzywni
Bierze stroje na dożynki.
Smagłe liczko radość krasi,
Co swym bożym blaskiem gasi,
Białość miejskich lic.
Pracowała dzień po dzionku,
W brzasku świtu, w skwarnym słońku,
Przy chmur cieniu, wśród dżdżu trwogi,
Dziś z tej troski, Boże drogi,
Nie zostało nic.
Hej żniwiarze! już wam pora,
Z wieńcem, pieśnią iść do dwora,
Z szczerem słowem, dobrą wolą,
Tam nas czeka z chlebem, solą —
I pani i pan.
Dwórnas przyjmie i ugości,
I powita wśród radości,
Uściśnieniem ciepłej dłoni,
Czarką miodu pełną woni,
Co poprzedzi tan,

Hej! dożynki, śliczne święto,
Gdy już zboże z niw sprzątnięto,
Kiedy z pracą wciąż wytrwała,
Zwieź do stodoł się udalo
Już ostatni snop.
W górę serca, w górę czoła;
Niech nam zabrzmi pieśń wesoła,
Niech ku wspólnej dziś ucieśze,
Podkóweczka ognia skrzese.
Hejże! hop! hop! hop!

E. Lejowa.

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

III.

Latająca Ryba.

Przez cały następny tydzień zwożono na statek różnego rodzaju zapasy żywności i przedmioty, zabezpieczające wygodę podróży; do usługi zabierali oni z sobą tylko kucharza i lokaja, oddanych pod komendę dbałego o porządek całej wyprawy profesora. Z dostawą potrzebnych artykułów załatwiono się tak prędko, że w sobotę przed wieczorem wszystkie przygotowania były skończone.

W poniedziałek tedy towarzysze podróży zebrali się na umówioną godzinę w klubie, a nie zdradzając tajemnicy zamierzonej wycieczki, spotykanych znajomych pożegnali słowem: do widzenia, poczem wsiedli na pociąg idący do Blackwell i stamtąd, prowadzeni przez profesora, udali się do fabryki.

Uczestnicy wyprawy nie widzieli dotychczas osobliwego statku, Karliński bowiem ukrywał starannie dzieło swoje przed wzrokiem ludzkim, a baronet, pułkownik i porucznik, jako prawdziwi Anglicy, umieli hamować ciekawość swoją i rozmawiać spokojnie o rzeczach obojętnych, nie dotykając przedmiotu, obchodzącego ich najżywiej.

Ten spokój umysłowy u baroneta chwilowo został zachwiany, gdy profesor, otworzywszy z powagą drzwi fabryki, zawołał z odcieniem dumy w głosie:

— Widzicie panowie urzeczywistnienie mojego marzenia — oto jest *ryba latająca!*

— Na miłość Boga! — zaprotestował sir Reginald — czemu tak nietrafną nazwę nadałeś temu statkowi? — potworny kadłub jego nie będzie mógł wznieść się w powietrze, a o puszczaniu go na wodę myśleć niepodobna!

Pułkownik i porucznik zarówno jak baronet z powątpiewaniem kiwali głowami. Powątpiewanie to zdawało się być zupełnie uzasadnionem: mieli bowiem przed sobą olbrzymi cylinder, piętrzący się od ziemi aż pod więzanie dachu, z dwóch stron ostro zakończony, a zrobiony z metalu podobnego do srebra. Spód obszernego pudła statku opierał się na dwóch poprzecznych belkach, a wzdłuż całego okrętu szła inna belka, zawieszona na ruchomych zawiasach. Do tej belki, stanowiącej jakby oś statku, przytwierdzona była olbrzymia śruba z czterema wielkimi wklęsłymi łopatami, skupiającymi powietrze lub nabierającymi wodę, które następnie wyrzucały z ogromną siłą w kierunku osi statku, nadając jej tym sposobem ruch wirowy, a całemu statkowi postępowy lub wsteczny, jak śruba parowca.

Cały kadłub okrętu, nie pociągnięty farbą, świecił się jak zwierciadło; pokład zaś znajdujący się na wierzchu, po-

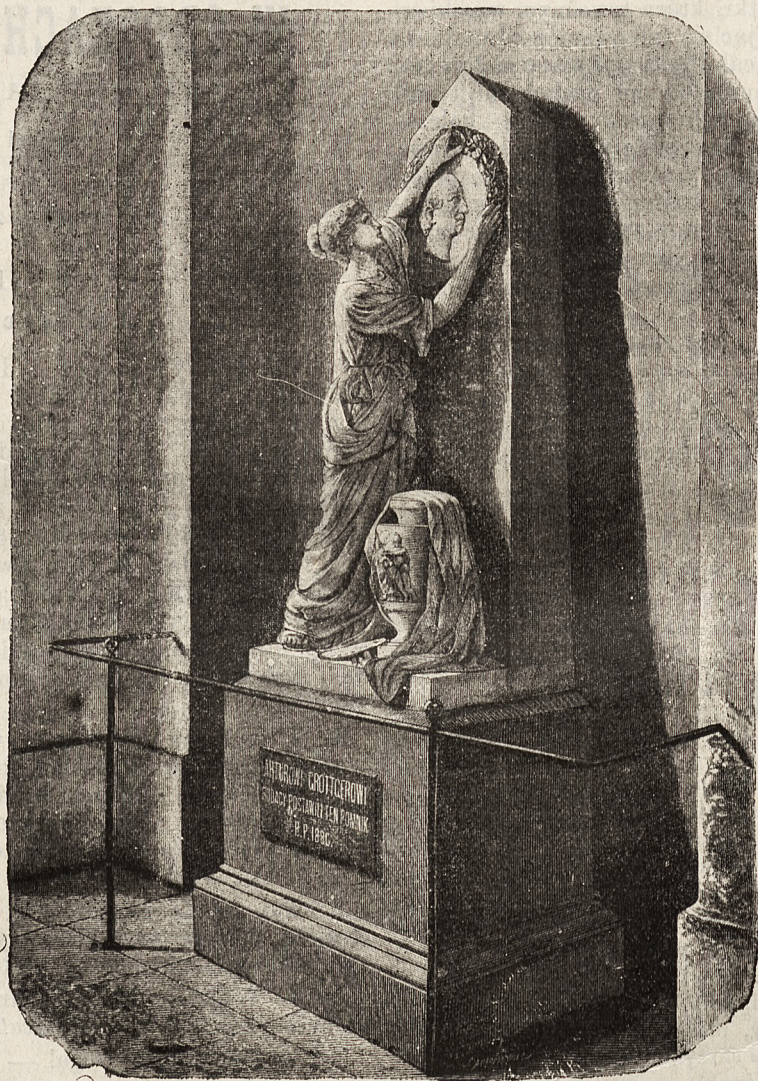
malowany był na jasno popielaty kolor i otoczony złożoną baryerką, z dwiema flagami ponsowemi. Na flagach złotymi literami umieszczony był napis: „Latająca ryba.”

Mimo olbrzymich rozmiarów i niezwyklej budowy swojej, napowietrzny ten statek przedstawiał harmonijną całość.

Nie zrażało też profesora niedowierzenie objawiające się w wykrzyknikach baroneta; pewność powodzenia usposa-

— I twierdzisz, że olbrzym taki wznieść się może w powietrze? — zawołał baronet z niedowierzaniem.

— Jestem tego pewny — odpowiedział profesor z pewną urazą w głosie. — Nie później jak dziś, wzniesiemy się na tym statku w powietrze, wyżej niż wszyscy współcześni aeronauci, a następnie, jeśli zechcecie, będziecie mogli spać snem sprawiedliwych na dnie morza! Podczas obiadu postaram się wytłómaczyć wam, kochani przyjaciele, że właśnie ta



POMNIK A. GROTGERA WE LWOWIE.

biała go pobłażliwie, a brak znajomości rzeczy u przyszłego towarzysza podróży, wywoływał na ustach jego uśmiech politowania.

Uśmiech ten natchnął spokojem sir Reginalda, który już mniej krytycznym okiem przypatrywał się nowej własności swojej.

— Sądzę — rzekł do profesora — iż statek ten większy być musi od największych okrętów liniowych, pływających po Atlantyku, o jakich pan wspominałeś.

— Ma sześćset stóp długości, a sześćdziesiąt szerokości — odparł spokojnie profesor.

znaczna objętość naszego statku pozwala szybować w warstwach atmosfery niepomiernej wysokości.

— Niech tak będzie — mówił baronet tonem człowieka nie zupełnie przekonanego — muszę temu wierzyć, skoro pan to utrzymujesz; zechciej nas jednak poznać dokładniej ze szczegółami budowy tego cudownego okrętu.

— Bardzo chętnie — oświadczył profesor, którego twarz rozpodziła się przy tych słowach. — Kilka chwil wystarczy na rozejrzenie się w jego stronie zewnętrznej. Okrągłe oszklone otwory są, jak się panowie domyślicie, okna, przez które będziemy mogli czynić obserwacje. Dwa

większe na przodzie i w tyle okrętu służą do zabezpieczenia lamp elektrycznych o silnym bardzo płomieniu, mających nam rozświetlać głębie morskie. Pod temi poziomymi drzwiczkami na spodzie okrętu, jest kryjówka na kotwicę, a temi znów okrągłemi drzwiami po drugiej stronie wychodzić będziemy na wycieczki po dnie morskiem?

— Jakto — zawołał baronet — przypuszczasz, że będziemy mogli dowolnie spacerować po dnie morskiem?

— Nieinaczej — przytwierdził profesor — zwiedzenie łożyska oceanów będzie niewątpliwie najciekawszym wstępem naszej podróży.

— Dla czego profesorze, nie kazałeś farbą pociągnąć całego statku? — zagadnął pułkownik — musiałeś mieć słuszne do tego powody?

obserwatorzy dojrzą tylko oslepiającą jasność, nie pozwalającą odróżnić kształtów naszego statku.

— I gotowi nas wziąć za jakiś meteor — wtrącił baronet. — Muszę ci powinszować, profesorze, przezorności, z jaką przewidujesz wszelkie możliwe wypadki. Z tem wszystkiem jakie cuda nowe w dalszym ciągu każesz nam podziwiać?

— Na spodzie nie mamy nic więcej do obejrzenia — rzekł Karliński, prowadząc towarzyszy po ozdobnie rzeźbionych schodach na pokład.

Patrząc z tego wyniosłego punktu na podwórze fabryczne, można było dokładnie uprzytomnić sobie, jak wielką jest wysokość, czyli grubość statku, a baronet wznosił ramiona z podziwu nad olbrzymimi rozmiarami swego nowego



WYPRAWA NAUKOWA NA ŁODZIACH Z KORY.

— Powodów miałem aż kilka — odparł Karliński. — Najpierw etereum jest nieczułe na działanie tak powietrza, jak wody, nie rdzewieje, a tem samem nie potrzebuje farby, zabezpieczającej od rdzy. Następnie ilość farby użytej do pomalowania statku tak wielkich rozmiarów, powiększyłaby jego wagę, ja zaś unikałem starannie dodania mu choćby jednego funta ciężaru nad konieczną potrzebę. Nakoniec, pożądanem jest dla nas do czasu nie zwracać na siebie ile możliwości uwagi ludzkiej, z tego względu uznałem za właściwe zachować statkowi naturalny jego połysk metaliczny, gdyż odbicie od niego barwy otaczającej atmosfery, utrudni śledzenie nas w powietrzu.

— Z wyjątkiem, gdy promienie słoneczne padną na okręt prostopadle; wszak prawda, profesorze? — zagadnął Mildmay.

— W tym razie — dowodził Karliński — ciekawi

nabytku. Nie zdradzając jednak zdumienia, szedł w milczeniu za profesorem, który ich na przód statku poprowadził.

— Wspomniałeś pan — odezwał się Mildmay do Karlińskiego — że starałeś się uniknąć powiększenia wagi statku nawet przez użycie farby, a jednak wyłożyłeś pokład taflami drewnianymi.

(d. c. n.)

Wyprawa naukowa na łodziach z kory.

Głębie olbrzymiego państwa Brazylijskiego, zwłaszcza źródła Amazonki i jej licznych dopływów, są jeszcze bardzo mało znane. To też udają się tam w ostatnich czasach wy-

prawy naukowe, dla zbadania kraju, a zwłaszcza istniejącego w dorzeczu rzeki Szango plemienia karłów.

Głównym, że tak powiemy, gościńcem dla dostania się przez całą Brazylię aż do granie Peru jest Amazonka, po której można płynąć większemi statkami; ale strumienie górskie pełne wodospadów i kamieni niedostępne są nawet dla większych łodzi.

Muszą więc uczeni podróżni używać maleńkich łódek z kory, wyrabianych przez krajowców. Łódka taka może pomieścić dwóch ludzi, a jest tak lekka, że jeden człowiek bez trudu unosi ją na plecach. Ale trzeba w niej siedzieć bardzo spokojnie, bo za lada żywszym ruchem, wywrócić się może.

Podobne łódki tylko nie tak lekkie, bo wyłobione w pniu drzewa, jak koryta, używane są też w Pińszczyźnie na polowania a nawet na podróże po licznych dopływach Prypeci i Jasioldy. Nazywają je miejscowi mieszkańcy, duszehubkami z powodu ich chwiejności.

Noc sierpniowa.

(Dalszy ciąg)

— Tak! umysł ludzki jest ograniczony — dokończył nauczyciel. Bóg nam pozwala badać i podziwiać nieśmiertelne swe dzieła, lecz tylko do pewnych granic, byśmy tem lepiej własną nicość spostrzedz mogli. Bo i czemuż jest człowiek, ten drobnutki pyłek na jednym z drobnych planet wobec ogromu światów, wobec milionów słońc, większych niż nasze, wobec pojęć Stwórcy rzeczy nieskończonych? Gdy nas pokusa bierze przeceniać swój rozum, przypomnijmy sobie, że nie umiemy zrozumieć nieskończoności czasu i przestrzeni, ani początku wszechrzeczy, ani objąć ilości istniejących światów, ani zbadać dokładnie nawet tych najbliższych.

Chwila milczenia trwała dosyć długo, Marynia pierwsza przerwała ją z cicha:

— A na księżycu czy niema mieszkańców? — pytała, żegnając wzrokiem sierp miesiąca, znikający pod horyzontem.

— O ile dziś pozwalają sądzić nasze wiadomości, niema ich tam na pewno, już dla tego, że niema wody ani powietrza, a my nie znamy istot, któreby żyć mogły bez tych niezbędnych dla nas dwóch żywiołów.

— Dajno pokój, Maryniu — przerwał żywo Franek — bo nie o tem mieliśmy mówić. — Przecież miał pan nam powiedzieć, jakieto gwiazdy deszczem będą spadały na ziemię, jeżeli nie prawdziwe.

— A wy mieliście mi powiedzieć naprzód, co to znaczy, prawdziwe gwiazdy?

— Prawdziwe gwiazdy — rzekł dobitnie Lutek — to wcale nie planety, krążące dokoła naszego słońca, ale słońca także, inne, większe, wspanialsze, a tak oddalone od ziemi naszej, że promień światła, na którym podług wyrażenia Romka w 8 minut mógłbym zajechać na słońce, na najbliższą gwiazdkę niosłby mię lat trzy tysiące. No, teraz pomyśleć sobie, ile tysięcy czy milionów lat taka pani gwiazda musiałaby wędrować we własnej osobie, żeby się dostać na ziemię? A każda przecież w innej znajduje się odległości i porozumieć się z drugą nie może, jakże więc miałyby się umówić i tej nocy urządzić sobie ogólne zebranie na ziemi?

— Czy to prawda, co on mówi, proszę pana? — pytał Franek z niedowierzaniem.

— To prawda, moje dziecko, że gwiazdami nazywamy słońca, takie jak nasze, mające własne światło, tylko wspanialsze i większe, a tak oddalone od ziemi, że światło, które od słońca biegnie 8 minut, od najbliższej gwiazdy tysiące lat

przebywa przestrzeń między nią a ziemią. Więc nie może być mowy, żeby takie gwiazdy na ziemię spaść miały.

— No, ale w takim razie, cóż więc spadać będzie? Ja nic nie wiem, co to za kamienie, o których mówił Romek. Przecież kamienie między gwiazdami nie krążą?

— Tak — powtórzył pan Adam — dokładnie nie wiemy, co to za kamienie spadają w noc sierpniową na ziemię. Krąży ich wiele naokoło słońca, ale skąd się wzięły na tej wspólnej drodze? Dawniej myślano, że to szczątki pewnej roztrzaskanej, w skutek jakiegoś wypadku planety, dziś uczeni odrzucają już to przypuszczenie. Sądzą niektórzy, że to szczątki komet, których ciało składa się z bardzo drobnych pyłków, rozpraszających się zwykle po drodze. Otóż gdy ziemia w biegu naokoło słońca przechodzi drogę, zasypaną owemi szczątkami, przyciąga je swoją masą, pyłki maleńkie i większe kamienie, spadając na ziemię, trą się o powietrze, w skutek tego rozpalają się gwałtownie, nie doleciawszy nawet do powierzchni ziemi. Te błyski, te zapalania się i to gaśnięcie sprawia na nas wrażenie deszczu gwiazdzistego, jakiego właśnie spodziewamy się tej nocy.

— To musi pięknie, wspaniale wyglądać? — dopytywała pół-szeptem Marynia.

— Przekonamy się o tem już chyba niedługo, jedenaśta się zbliża, a chociaż najwięcej spada zazwyczaj w parę godzin po północy, powinniśmy niedługo zobaczyć ich dosyć.

— Ze sto spadnie? proszę pana — dopytywał Franek.

— Nie wiem, mój drogi, przypuszczam, że więcej, sam nigdy dotąd bardzo pilnie nie obserwowałem tego zajmującego zjawiska, ale nauka mówi, że w ciągu godziny naliczono ich nieraz po kilka tysięcy.

— Kilka tysięcy! — zawołano chórem. — W ciągu jednej godziny! I pan tego nigdy nie widział?

— Nie widziałem — z pewnym żalem potwierdził pan Adam. — Ręczę wam jednak, że dzisiaj zobaczę. No, ale widziałem coś ciekawego w tym rodzaju.

— Pewno zaćmienie słońca?

— Jeszcze coś innego.

— Cóż takiego? Niech pan powie.

— Spadający meteor czyli aerolit.

— Meteor? To także kamień?

— Niezupełnie.

— I dawno pan to widział?

— Dzieckiem jeszcze byłem.

— To niech nam pan opowie.

— Bardzo chętnie. Wytlómaczę wam później, co to znaczy aerolit. Otóż razu pewnego, miałem może lat 9, za niegrzeczne sprawowanie się przy kolacyi, kazano mi odejść od stołu i w sąsiednim ciemnym pokoju rozmyślać nad swoją winą. Byłem upartym chłopcem, więc nie przepraszałem matki, ale poszedłem sobie na pokutę, od razu nową psotę mając w głowie. Mieszkaliśmy na dole, więc chciałem otworzyć okno i wymknąć się po cichu na podwórze. Niech mię potem szukają, jeszcze się martwić będą, żeby mi się co złego nie stało, myślę sobie. I stanąwszy na oknie, dalej cichutko odsuwać zawiasy... Nagle! nie potrafię wam nigdy opisać okropnego wrażenia, od którego włosy podniosły mi się na głowie, jak druciki, a ciało zesztyniało. Gdy ze złą myślą majstruję przy oknie, spostrzegam nagle na niebie olbrzymią kulę ognistą, niby księżyc prosto na mnie spadający, czerwony, wielki, straszny. Dokoła wzbil się krzyk nieopisany, huk tysiąca wystrzałów wstrząsnął powietrze, szyby zadzwęczały i wszystko zgasło.

Koniec świata — pomyślałem i byłem zupełnie pewny, że sąd się zacznie nademną za chwilę. Dnia tego czytałem o nim właśnie przy lekcji religii i wszystkie winy moje, wszystkie dziecięce psoty jak obraz jasny stanęły w pamięci, zdawało mi się, że jestem zbrodniarzem, godnym ostatecznego potępienia, i chciałem się poprawić, a tu czasu już niema.

Płacz i jęki rodzeństwa przerażały mię coraz bardziej, nie śmiałem otworzyć oczu, ani ruszyć się z miejsca, oczekując wyroku.

Co się stało, o Boże! Za oknami płacz, krzyki, rozinowa, oczwyście coś straszego się tam działo.

Wtem ktoś mię dotknął. Skuliłem się bardziej.
— Co ci, Adasiu? — dał się słyszeć łagodny głos matki.

Możecie wyobrazić sobie, jak ją przeproszałem.

(d. n.)

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

— Cóż, nie powrócicie mi mego podczaszego? Co to za porządek u was na dworze, by jakieś młokosy ośmielali się stroić żarty z najstarszego z moich dworzan! Ja tego tak nie przepuszczę, udam się z tem do króla, niech winnych ukarze i niech mi powróci Kurtza! Twarz jego jeszcze bardziej się zaczerwieniła, gdy to mówił, począł bić pięścią w stół, sapiąc przytem głośno.

— Wasza miłość — ozwał się wojewoda spokojnie, któżby się ośmielił stroić żarty z waszych dworzan; każdy przecie, zna należną wam cześć i zachowanie, i wie, że gdyby uchybił w czem krewnemu naszego pana, naraziłby się na gniew jego. Bądźcie pewni, że zarządzymy najstaranniejsze poszukiwania aby odnaleść waszego dworzanina; roześle nawet zaraz kilku gońców w różne strony a jestem pewien, że prędko odszukają zgubę. Musiał on się zbłąkać w puszczy, w czasie łowów, ale mam niepłodną nadzieję, że nic mu się złego nie stało.

Wojewoda mówił z takim przekonaniem, że potrafił uspokoić margrafa i tak straszna burza została zażegnana. Margraf Herman opłakiwał tylko pocichu swego wiernego Kurtza, w czem mu towarzyszył dwór cały, pragnąc tym sposobem zaskarbić jego względy.

Tymczasem do Kielc przybył Przemko ze swego gródka, donosząc, że żadnej wieści nie miał dotąd o Ładonie, ale że ludzie jego znaleźli nad jeziorem wodnic miecz należący do młodego rycerza oraz zauważyli ślady krwi na zdeptanej trawie

Wojewoda Bożydar, skoro ujrzał ów miecz i wysłuchał Przemkowych doniesień, był przekonany, że syn jego padł ofiarą jakiejś napaści. Skoro wszedł do króla, oblicze jego było tak zmienione, że Bolesław zapytał natychmiast:

— Cóż to się stało, wojewodo?

— Miłościwy Panie — rzekł wojewoda, starając się opanować wzruszenie które mu głos ścisnęło w gardle — dowiedziałem się teraz, dla czego syn mój nie wracał dotąd... oczy moje nie ujrzą go więcej...

— Jakto, co się z nim stało?

Wojewoda opowiedział wszystko, co mu doniósł Przemko i czego się dowiedział od towarzyszy Ładona.

— Cóż to za szalone głowy! — zawołał król niecierpliwie. — Wiedziałem, że Zbilut jest wartogłowem, ale niespodziewałem się że i Ładon...

Trzeba go jednak szukać wojewodo, wyślijcie ludzi do puszczy... Dobrze wyjdę, jeśli najlepszych rycerzy potracę przed wojną!

— Wy, miłościwy panie, straciliście jednego z najlepszych rycerzy, a ja więcej jeszcze, bo jedynego syna i dziedzica, odrzekł wojewoda ponuro.

— Prawda — odrzekł król z westchnieniem — żał mi was szczerze, wojewodo, boć i ja jestem ojcem i pojmuję waszą boleść. No, ale nie wszystko jeszcze stracone, toć niema żadnej pewnej wieści o jego śmierci, bądźcie lepszej myśli...

— Staram się, miłościwy panie, ale trudno mi to przychodzi — odrzekł wojewoda, a chcąc stłumić żal gwałtowny, jaki nim miotał, zacisnął obie pięście na piersiach szerokich.

Nagle dodał, zmieniając rozmowę.

— Jakie macie dla mnie polecenia, miłościwy panie?

— Chciałem was posłać jutro do Krakowa — odrzekł król zdziwiony tym nagłym zwrotem — ale teraz...

— To nic, miłościwy panie, zawsze poślijcie...

— Może się co podrodze dowiecie — dodał król.

— Na to małą mam nadzieję, miłościwy panie — odparł wojewoda z ponurem przekonaniem, ale troszkę trzeba strząsnąć z siebie by nas nie zjadła albo nie przemieniła w babę, co tylko zawodzi i ręce łamie. Dla tego też proszę was, miłościwy panie, dajcie mi jakie trudne polecenie, a zaręczam, że je spełnię dobrze, bo gdy na miejscu będę siedział, to w głowie mi się coś przewróci a wówczas na nic się wam nie przydam.

— Dla czegoż nie macie nadziei, przecie nic niema jeszcze pewnego, że wasz syn zginął? — spytał król.

Poznałem miecz mego syna — odrzekł posepnie wojewoda — wiem, jestem pewny, że żywy nie roztałby się z nim nigdy... Nie mogę już spodziewać się niczego dobrego...

W tym czasie przygotowania do wojny były ukończone i zbrojne hufce pociągnęły ku Magdeburgowi, po drodze karząc okropnie odstępcze plemiona, wszędzie rozlegały się jęki i wznosiły w górę dymy pożogi.

Margraf Herman pojechał jednocześnie do Ratysbony, do cesarza Henryka, z odpowiedzią od szwagra, która brzmiała w te słowa:

„Chrystus świadkiem, jak niechętnie przedsiębiorę co czynić teraz będę, ale nie zwykłem uchylać się od wojny.”

VIII.

Ładon, utraciwszy przytomność, nie wiedział jak długo przeleżał nad jeziorem, ani co się przez ten czas z nim działo; gdy poraz drugi otworzył oczy, ujrzał się w niskiej chacie, zbudowanej z sosnowych bierwion; leżał na łożu usłanem owczemi skórami; pośrodku, w zagłębieniu, płonął ogień na kamieniach, a przy nim gotowało się jadło. Na stole płońnięto łuczywo a przy łuczywie człowiek jakiś naprawiał sieć rybacką. Twarzy łagodnej, ciemne włosy obcięte miał okrągło, odziany zaś był w postoły z lyka lipowego i białą świtkę, zarzuconą na jedno ramię, po wierzach długiej koszuli, przepasanej skórzanym pasem. Nieopodal, na ławce, siedziała młoda, hoża niewiasta, w białej namiotce, i kołysała dziecię w kolebce, nucąc mu coś pół-sennym głosem.

W chacie było spokojnie i zacisznie, okiennice pozasuwane, płomień trzeszczał na ognisku, przy którym wygrzewał się wielki pies kudłaty. Ściany nie były wylepione gliną a wprost drewniane, stawiane w zrąb, szpary starannie mchem poutykane; woń żywicy unosiła się dokoła. Po kątach leżała broń: oszczep, łuk i topór, dalej porozwieszane sieci, na półkach porozstawiane widniały statki drewniane, a jedna półka, najwyżej, pod pułapem umieszczona, była zajęta przez kamienne bałwanki, wraz z ziołami i innymi przedmiotami, składanymi im w ofierze.

Ładon mimowoli począł się przysłuchiwać słowom pieśni, śpiewanej przez kobietę; nuta jej dźwięczała mu jak dalekie przypomnienie dzieciństwa, ale słowa były dziwne i dobywały się z ust niewiasty niby we śnie, jakby śpiewała nie ona a inny ktoś przez jej usta.

— Śpij dziecino, śpij — w lesie zmory wstają
Siwy wilk już bieży — niedźwiedz w gąszczach leży,
Sowa huką w krzaczach.
Sokolica dzieciom dręć — ym żer ciepły podać,
I przykręć ją je skrzydłami, piersiami ogrzać;
W borze czyha strach, w borze czyha strach!
Śpij dziecino, śpij — zmory ponad wody
Tańczą w korowody,

Wilk ściga łanię przy blasku miesiąca,
Woda stoi śpiąca;
W trzcinach na wybrzeżu żaby rechotają,
W olszynie, gęstwinie puhacze hukają
Śpij dziecińco, spij!

Piosnka zdawała się usypiać jednakowo i matkę i dziecko; kobieta pochyliła głowę na piersi i widocznie drzemała.

Na dwerze słycać było tymczasem, jak ciepły deszcz wiosenny uderzał o okiennice i spływał po dachu; od czasu do czasu nawet grom rozlegał się słabo. Tutaj jednak było tak zacisznie, iż zapominało się całkiem, że tam kędyś grzmoty huczały nad puszcza.

Ładon starał się przypomnieć sobie i zrozumieć skąd się mógł wziąć tutaj. Chata i ludzie byli mu całkiem nieznanymi; prócz tego pamiętał dobrze, że gdy stracił przytomność, na niebie zaczynało już świtać, teraz zaś widocznie była noc czy wieczor, czyż więc tak długo był bezprzytomnym? Ramię jego było przewiązane, i nie czuł już w niem prawie żadnego bólu, gdy się poruszył, by lepiej rozejrzeć się po chacie.

Ruch ten zwrócił uwagę człowieka, naprawiającego się; wstał z miejsca i podszedł doń.

— A, jużście przyszli do siebie — ozwał się uradowanym głosem; — cały dzień czekaliśmy na to z moją niewiastą, aleście wciąż byli jak nieżywi.

Kobieta, zbudzona głosem męża, zbliżyła się również, patrząc ciekawie na młodego rycerza.

— Skądże się u was wzięłem? — spytał Ładon, podnosząc się na wpół na posłaniu. Wówczas niewiasta jęła rozpowiadać:

— A ot, mój poszedł dziś raniutko łowić ryby na jeziorze, i ja też byłam wraz z nim, by pomódz mu zarzucać sieci, bo my tu samiutcy jedni siedzimy w puszczy. Aż tu na brzegu ujrzeliliśmy was i zrazu myśleliśmy żeście nieżywi... Zdziwiliśmy się skąd w naszej puszczy wziął się taki witeź znaczny, z błyszczącym łańcuchem na szyi, ale mój rzecze do mnie: „Jaga, czy to będzie pan jaki, czy prosty jak my człek, zabierzmy go stąd, może jeszcze nie zupełnie umarł; zawszeć bowiem godzi się pomódz człeku. a nie zostawiać go w puszczy, na pastwę dzikiego zwierza.” Ta pewnie, mówię mu...

— Ot, baba jak się rozgada, to już końca temu niema — przerwał mąż. — Dałabyś pokój trajkotaniu, a poszła tam, bo jeszcze dziecko z kołyski wypadnie.

— Ale, wypadnie — odparła, odchodząc urażona nieco kobieta — nie twoja to troska, potrafię przecie dziecka dojrzyć.

— Jutro już będziecie zdrowi — mówił tymczasem człowiek do Ładona — zioła, które się zbiera w noc kupalną w puszczy, najlepiej pomagają na wszelkie rany. Kon wasz także stoi w stajence, nakarmiłem go dobrze i napoiłem; spokojne to jak dziecko i samo do rąk człeku idzie.

— Dziękuję wam, dobry człowieku — rzekł Ładon i radbym czem wam się wypłacić.

— Za co? — rzekł ze zdziwieniem wieśniak. — Toć przecie każdy by uratował człeka, gdyby go ujrzał umierającego w głuchej puszczy; cóż to za dziw? A toć by było do-

brze — dodał, śmiejąc się — gdybyśmy was zostawili w puszczy bez pomocy, tak, nie przymierzając, niby jakiego psa.

Ze wszystkiego widać było, że ci ludzie żyli od lat wielu w puszczy, nie wychodząc z niej nigdy i nie wiedząc co się na świecie dzieje. Dla nich jeszcze było jednak, jak za czasów ich ojców: ten sam obyczaj, tę samą wiarę wciąż zachowywali bez zmiany żadnej.

Kobieta była niezmiernie zdziwiona, ujrawszy krzyżyk na piersiach Ładona; nie mogła pojąć do czego on służy.

— To obraz Boga — odrzekł Ładon, gdy się zapytała o to.

— Bóg taki mały? — zapytała.

— Nie Bóg, tylko znak jego, którego czcic należy. Czyż go nigdy nie widzieliście?

— Nigdy; my czcimy drzewa, święte źródła...

Lecz zatrzymała się, bo mąż spojrział na nią znacząco. Od tej pory nie było już mowy o tych rzeczach; widocznie obawiali się swego gościa.

Nazajutrz cudny ranek zaświtał nad puszcza. Na każdym listku błyszczała kropelka wczorajszego deszczu; orzeźwiający wonie płynęły z wiatru powiewem. Ptaki szczebiotały w gęstwinie; gdzie tylko zajrzał promień słońca, tam unosiły się roje brzęczących owadów; krasne, różnobarwne motyle bujały tu i owdzie.

Ładon podniósł się i wyszedł przed chatę; nie czuł jeszcze dość siły by wyruszyć w drogę, usiadł więc spokojnie na przyzbie, patrząc przed siebie i oddychając świeżością wiosennego poranku. Nieopodal na zielonej trawie, pasł się siewy i na głos swego pana natychmiast przybiegł, wesoło potrząsając grzywą.

Dokoła była cisza; echo tylko powtarzało klekot terlicy, na której kobieta tarła konopie. Niedaleko bawiło się dziecko, strzeżone przez wiernego Kruczka, podczas gdy gospodarz naprawiał coś około brony.

Przy robocie kobieta śpiewała odwieczne, zapomniane już gdzieindziej pieśni pogańskie; brzmiały w nich imiona Żywie, Nya, Kupała; wzywała też opieki białych bogów, którzy darzą zbiorami i chronią od nieszczęścia, a zakłęciami odganiały czarnych duchów i zażegnywały uroki. Nuta śpiewu była poważna, uroczysta, to znów dziwaczna i urywana. Przeciągły i majestatyczny szum puszczy towarzyszył pieśniom.

Ładon tymczasem myślał o wszystkim, co mu się przytrafiło; owo spotkanie z Masławem stanęło znów przed jego okiem, i zrodziło posądzenie, że nocne wycieczki Zaboja muszą mieć z tem jakiś związek. Postanowił sobie, iż dociecze koniecznie co to był za związek. Wszystkie pogłoski głuche o Łysej górze przypominały mu się również; był teraz pewny że Żabój tam się udawał, a może i Masław... W pamięci stanęła mu obietnica, jaką dał królowi, iż będzie pomagał w wykorzenieniu dzikości. A kiedyż lepsza sposobność się znajdzie do spełnienia jej? Czyż nie było jego obowiązkiem wysledzić te tajemnice i odkryć ostatnie szczątki pogaństwa, kryjące się wśród mroków puszczy i zagrażające rozprzestrzenieniu prawdziwej wiary? Czyż nie pozyskałby tym sposobem zasługi u Boga i u króla, który starał się wszelkimi siłami tępić barbarzyństwo? (d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Dawni nasi malarze p. W. Marréne (z ryc.) — Dożynki, piosnka przez E. I. ejową. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Łatającej ryby,” opisał H. C. — Wyprawa naukowa w Brazylii na łodziach z kory (z ryc.) — Noc sierpniowa. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Dodatek: Mały dobosz, wiersz (z ryc.) — Nieproszeni goście (z ryc.) — Bajka, dla panierek szyjących na konkurs. — Dług wdzięczności przez Zofię Rudnicką. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 7 Августа 1898 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE

NIEPROSZENI GOŚCIE.

P a j a k .

W szparze małego wiejskiego domu siedział krzyżak. Oczami rzucał na wszystkie strony, a że miał ich 8 mógł zatem dużo na raz widzieć.

Wkrótce zauważył, że firanka nade drzwami podnosi się za każdym razem, gdy drzwi otwierają; wywnioskował, że w owym kącie musi być przeciąg. Nie namyślając się długo, począł tam snuć swoją pajęczynę: najpierw przeciągnął poprzeczne włókienka, a potem kilka nitek obwodowych.

Gdy robota była skończoną, usunął się kilka kroków na bok, by przyrzeć się zdaleka, czy sieć jego nie jest widoczną.

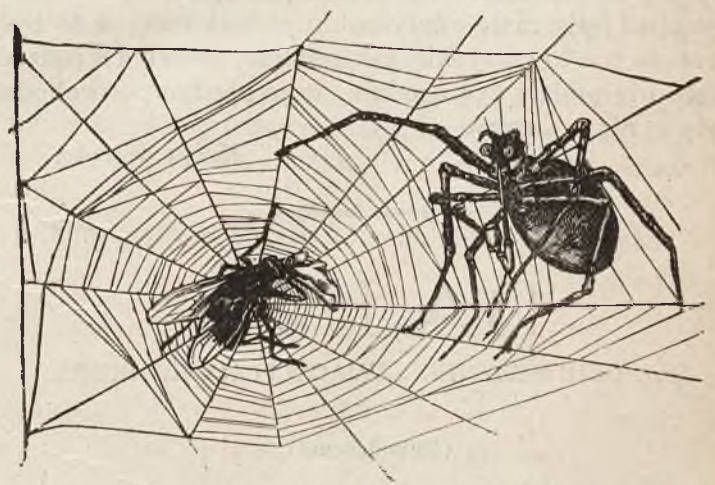
Ale włókna pajęczyny były tak cienkie, że niktby nie podejrzewał, iż to były zastawione sidła. Czwartą to już pracę swoją skończył krzyżak: jedną nad oknem, dwie nade drzwiami w przedpokoju, a wszystkie stara się umieścić na przeciągu, sądząc, że wiatr mu owady napędzi.

I nie zawiódł się.

Zaledwie wziął się do nowej roboty, mały woreczek budując sobie, gdy posłyszał przeraźliwe brzęczenie. Pająk ma czujny słuch; wie, że to mucha wpadła w jego sidła.

Biedaczka próbowała wydostać się z uwięzi, lecz im więcej się kręciła, tem więcej oplątywała się cienkimi, a lepkiemi włóknami.

Ale niedługo to trwało, pająk już był przy niej, zapuścił w nią jad i tem zabił ją odrazu. Potem wyssał z niej chciwie soki.



Mucha przedziurawiła mu sieć, czego przecie nie można tak zostawić, naprawił więc ją, zacerował i znów do dawnej roboty pospieszył.

Woreczek bardzo mu się udał, z pajęczyny też delikatnie utkany; wygodnie będzie mu kryć się w nim



Mały Dobosz.

Hej w szeregi bracia żwawo,
Odgłos trąbki wzywa was,
Ten na lewo, ten na prawo,
Stawać prędko, bo już czas!

Tra - ra - ra, trąbka gra,
Tra - ra - ra - ra...

Gotów zawsze każdy żołnierz
Mustrę też on dobrą zna,
Hełm na głowie z gwiazdką kołnierz,
A przy boku pałasz ma.

Woła bęben, drum, drum, dru,
Więc żołnierz stawaj tu!

W takt bębena pewnym krokiem,
Maszerujemy przez ten świat —
Z butną miną, śmiałym wzrokiem,
Zły nam wrogiem, dobry — brat.

Drum - drum - drum, tra - ra - ra,
Woła bęben, trąbka gra...



przez całe lato, a na jesieni złoży w nim 1000 jaj, gdzie przechowają się bezpiecznie przez zimę.

Kiedy tak rozmyślał, w przedpokoju rozległo się przeraźliwe brzęczenie, taki głos pająkowi niemiły. Biegnie więc prędko, bo ma nie napróżno nóg ośm.

Do pajęczyny wpadła osa. Pająk tego bardzo nie lubi. Zatruc jej nie potrafi, bo niema tyle siły, więc korzyści z niej niema żadnej, a straty wielkie, bo mu strasznie pajęczynę porozrywa.

Zbliża się więc pająk i dopomaga osie wyswobodzić się. Ale nim się to stało, z pajęczyny pozostały same strzępy. Lecz pająk nie jest próżniakiem i dnia tego jeszcze usnął dwie nowe sieci. Wkrótce tak się zagospodarował w owym małym domku, iż zdawało mu się, że właśnie dla niego zbudowano go tylko.

Zazdrościły mu nieraz inne pająki, próbowały nawet wejść do tego domu, ale krzyżak był tak nietowarzystki, taki samolub, że rzucał się na każdego przybysza i dopóty walczył, póki go nie pokonał.

Widząc to małe czarne i zielone pająki, nie odważały się już wejść i tylko przez szparkę zaglądały i myślały sobie: „Takiemu panu to się dobrze dzieje, ani go ptak nie porwie, ani mu zimno dokuczy.” Aż tu raz jednego rozniosła się wieść: letnicy przyjeżdżają! Od rana więc do nocy myto, szorowano i urządzano mieszkanie. Na dużą szcnotkę sprzątająca kobieta nawinęła wilgotną ścierkę, a jak poczęła wycierać wszystkie ściany i kąty, tak pościagała wszystkie pajęczyny!

Krzyżak z żalem przyglądał się tej robocie, zły był na kobietę, onby ją zakłócił na śmierć, jak muchę, ale cóż, nawet ugryźć jej nie może, jad jego dla ludzi jest nieszkodliwy.

Nie było innej rady, trzeba było wynieść się na strych.

Przed ostateczną przeprowadzką próbował raz jeszcze założyć pajęczynę, pomiędzy świeżo zawieszonymi firankami nad oknem, ale i ta została zniszczoną przez tę samą okrutną kobietę. Z jajek złożonych przez krzyżaka na przyszlą wiosnę wyległy się małe pajęczki, a że były odrazu podobne do swoich rodziców, zupełnie rozwinięte, więc choć były małe, dały sobie jednak radę, a że były tak samo nie towarzyskie, jak rodzice, nawet i z rodzeństwem nie umiały żyć zgodnie, więc prędko porozchodzily się w różne strony.

Marya Weryho.

BAJKA

DLA DZIEWCZYNEK SZYJĄCYCH NA KONKURS.

(Dokończenie).

Od tej błogiej chwili inne życie zaczęło się dla pogardzanej dawniej istotki. — Naparstek tak był miły, tak był mądry, że prawie sam chodzić umiał, niechby go tylko mysz ogonkiem trąciła! — Mówił Igiełce, że ją oddawa już uważał, że go zachwycalo jej złocone uszko, ona znowu, wypowiedala mu się ze swego smutku i zwątpienia, z obawy, że do niczego się nie zda na świecie. To

coś jak ze mną — odpowiedział — ja także dotąd nic nie zrobiłem dobrego, a nawet nic zgoła nie umiem.

— Widać, że równa dola nasza, byliśmy dotychczas do niczego.

— Ha, więc próbujmy wspólnej drogi, może się razem na coś więcej przydamy.

Postanowiono nie rozłączyć się nigdy. Na pogawędce i układaniu planów, tak szybko czas schodził tym państwu, że ani się spostrzegli, jak wielka czarodziejka, która w swej straży miała klucz do zakłętego pałacu, otworzyła razu pewnego podwoje, i strumień białego światła oblał nagle zgromadzone w niem towarzystwo. Czarodziejka wpuściła w zakłete progi dziesięć różowych służek swoich, które po jednemu chwytały wszystkich mieszkańców, widocznie chcąc sprawić wielkie przenosiny.

— Panno Igiełko — odezwał się Naparstek — pójdźmy w służbę do tej wielkiej pani.

— A pójdźmy, panie Naparstku; ona nam pewno znajdzie robotę.

— I będzie mi pani mówiła ty, gdy zostanie moją żoną.

— A będę, panie Naparstku.

Czarodziejka, jak tylko ich zobaczyła, domyśliła się zaraz, bo od tego była czarodziejką, że ci dwoje chcą życie spędzić w zgodzie i miłości, więc sprawiła im sute wesele, na które panna młoda miała suknię z długim ogonem, przewieszoną przez ucho. Odtąd żyją sobie razem szczęśliwie i przekonali się, że pomagając sobie wzajemnie, mogą się stać bardzo użytecznymi. Teraz np. czarodziejka zaprzęła ich oboje do wielkiej pracy na konkurs „Wieczorów rodzinnych” i mogę wam zaręczyć, że wywiązują się doskonale ze swego zadania!

Niechże się zastanowi każda z dziewczynek, które czytają te słowa, czy w zakłetych pałacach, jej władzy powierzonych — w szafkach, pudełkach, szufladach — nie smucą się gdzie w rozłączeniu takie stalowe serduszka? a gdyby tak w istocie być miało, niechże je jaknajprędzej pocieszy i przewiesiwszy pannie młodej długą suknię przez ucho, niech im sprawi corychlej wesele! Niechaj pamięta, że chociaż każde z osobna na nic się nie zdadzą, oboje razem, w służbie jej czarodziejskich rączek, krok każdy drogi swojej znaczą tak pięknym, równym i pożytecznym śladem, że bodajby z nich ludzie przykład brali, w swem życiu!

Kto jeszcze mi nie wierzy, niech spróbuje się przekonać. — Konkurs „Wieczorów rodzinnych” doskonałą do tego nastęrcza sposobność.

Ot i bajka skończona!

Zofia Mrozowicka.

DŁUG Wdzięczności

przez

Zofię Rudnicką.

(Białą Babcie).

— Dziadziu! byłem bardzo grzeczny, proszę więc dać mi pobawić się szablą, — wołał, wbiegając

do komnaty, dziewięcioletni, Janek, wnuk imci pana Sępa.

Ten, siedział właśnie przed kominkiem, w głębokim zamyśleniu, a choć na widok wnuka uśmiechnął się, lecz w uśmiechu tym widny był wielki smutek. I nie dziw! sędziwy pan starosta przeżył wszystkich swoich i ostatnim z rodu pozostało mu już tylko to złotowłose wnuczę.

Janek przybiegł do kolan dziadka, a ucałowałszy jego rękę, prowtórzył swoją prośbę. Pan starosta klasnął w dłonie: boczne drzwi otworzyły się i stanął w nich chłopak służebny.

— Przyniesz szablę, która wisi w komnacie sypialnej nad mojem łozem.

Chłopak zniknął we drzwiach, a Janek aż podskoczył z radości. Za chwilę podbiegł do wracającego chłopca, odebrał mu z rąk ogromną szablę, oprawną w jaszczur, ciężką i tak dużą, że musiał ją trzymać oburącz.

— Niechże teraz dziadzio pottrzyma, ja sam wyciągnę z pochwy. To tak przyjemnie wyciągać taką śliczną szablę!

W tej chwili weszła do komnaty kobieta w czarnym stroju, kroju zakonnego, młoda była i piękna, ale podobnie, jak dziadek, z wyrazem bólu i smutku w rysach. Złożywszy ręce na piersiach, patrzyła na syna, który wymawiając te gorące wyrazy, wydał się jej tak podobnym do ojca swego — ukochanego jej męża. Patrzyła na to chłopię małe, pieszczące się z szablą ojcowską, niemal jak z żywą osobą. Oczy jej zasłyły łzami, usta się poruszyły — modliła się. Modliła się za duszę ojca — o szczęście syna... Usiadła cicho przy oknie i poczęła złotemini wyszywać w krosnach krzyż z cierniową koroną. Janek tymczasem prosił dziadka, by mu opowiadał o owych wojnach, o bitwach, w których walczyli jego stryjowie i ojciec.

Między innemi opowiadał pan starosta, jak nasi łagodnie obchodzili się z jeńcami tatarskimi, których wielu dostało się im do niewoli.

— Jeden z tych jeńców, Janku — dodał dziadek — tak się przywiązał do twego ojca, że uprosił sobie u hetmana, by został jego własnością. Gdy po wyprawie ojciec twój powrócił do domu, przywiózł tego Tatara z sobą. Dziwny był ten jeńiec, pomimo, że obchodzono się z nim łagodnie, że miał wszystkiego pod dostatkiem, zawsze był smutny. Myśleliśmy, że tak tęskni za końmi, bo to Tatar życie całe prawie przepędza na koniu, a że wszyscy polubili tego smutnego niewolnika, więc ojciec twój przeznaczył go do tabunu, to jest do dozorowania tych koni, które dzień i noc pasą się na pastwiskach. Ale ku naszemu zdziwieniu jeńiec po kilkunastu godzinach przypędził tabun na dziedziniec folwarczny, a sam rzucił się do nóg twemu ojcu, prosząc by mu wyznaczył inną, chociażby najcięższą robotę byle w murach zamkowych a nie przy koniach na stepie.

— Kamienie będę dźwigał przy naprawie murów, fosy dzień i noc kopał, a nie wysyłajcie mnie, panie z końmi w czyste pole... — błagał, łkając w płaczu.

Ździwienie nasze granic nie miało; pytany o powód, Tatar nie dawał odpowiedzi. Aż w końcu, przynaglony, rzekł z dzikim błyskiem w oczach:

— Nie dawajcie mi konia — bo ucieknę... tam na moich stepach, moje konie, żona moja, maleńki mój syn!...

Schwycił się oburącz za głowę, wpił palce w gęste, kędzierzawe włosy i targał, jakby je chciał wyrwać co do jednego,— przytem wydawał dzikie głosy rozpaczcy. Rzucił się do nóg twemu ojcu, nurzał twarz i głowę w prochu na znak pokory i wołał:

— Zabij mnie panie, zabij — ja nie chcę twojej krzywdy, ty dobry pan, ja twój, ale przy koniach ja nie wytrzymam — zabij mnie, ulituj się nademną panie i zabij...

Janek, który słuchał z szeroko otwartymi oczyma, zawołał ze łzami w głosie:

— Ale ojciec nie zabił go przecie?

— Bądź spokojny, mój wnuku, nie zabił go.

— A dla czegoż on prosił o to?

— Tęsknota długo tłumiona, wybuchła tak gwałtownie, gdy poczuł, że siedząc na koniu, uciec może. Wiedział jednak, że jeńiec na wojnie wzięty, jest własnością tego, który go zdobył. Jego prosta natura prawą była i szlachetną: nie chciał skrzywdzić pana swego, który tak łagodnie z nim się obchodził; czując się więc słabym wobec pokusy, prosił, aby go na nią nie narażano. Ojciec twój podniósł go z ziemi, czekał, żeby się uspokoił i powiedział mu — że go już więcej nie wyśle na pastwisko z końmi...

— Jakto? i nic więcej? — zawołał Janek, patrząc dziadkowi w oczy.

— A cóż ty byś zrobił z tym jeńcem? — zapytał dziadek.

— O, ja bym go uradował wolnością! — zawołał chłopczyzna gorąco—ja bym mu pozwolił wrócić na stepy, do swoich!

Matka od chwili już złożyła robotę i z rozrzwaniem patrzyła na syna, teraz wyciągnęła ręce do niego, szepcząc stłumionym przez łyzy głosem.

— Nieodrodne dziecko swego ojca...

Janek rzucił się matce na szyję i ściskając ją pytał.

— Więc ojciec uwolnił jeńca?

— Tak moje dziecko, uwolnił go i obdarzył na drogę koniem, pieniędzmi i dla bezpieczeństwa, urzędowym świadectwem, że nie ucieka, lecz uwolniony, wraca do swoich.

Chłopczyk, aż w ręce klasnął, tak się ucieszył.

(d. c. n.)



SZARADA.

od Puszczyka z Pilawy dla Giermka.

Kiedy *pierwszą* wspank stawiamy
To przysłówek miejsca mamy
A wprost — w szachach spotykamy.
To co *druga* zaś zawiera,
Będzie znana nam litera.
Wszystko najdroższa na ziemi
Istota między swojemi.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

p. Stokrotkę.

- 1 Zastąpić kropki literami w ten
 . 2 sposób, aby litery oznaczone liczbami
 . 3 złożyły na zwiśko znane
 . 4 go poety. Znaczenie wyrazów
 . 5 w kierunku poziomym: 1) Szczyt w Alpach tyrolskich. 2)
 . 6 Miasto na wyspie Fionii. 3) Greckie morskie bóstwa. 4) Państwo
 . 7 w Europie. 5) Miasto na Szląsku. 6) Miasto w Kroacji. 7) Miasto na Podolu nad Dniestrem.

Sylaby: Or—o—za—zwa—ca—cya—den—les—li—te—try—fran—to—gni—grzeb—ny—niec—see.

NITECZKA ARYADNY.

Gdzie	bę	dzie	ga	praw	świat	ją
tyl	ko	za	słu	dzi	wa	od
ni.	naj	tym	ma	trzy	wa	kry
pom	le	o	naj	sam	a	kto
Bóg	piej	niej	skrom	bie	so	o

ROZWIĄZANIA DO Nr. 33.

Zagadki: B e z .

Łamigłównki kryształowej:

W
 S a n
 W a r n a
 I n n
 a

Łamigłównki w trójkącie:

H e r k u l e s
 E s k u l a p
 R ó w n i k
 K o r a n
 U r n a
 L a k
 E h
 S

Skrzynka do listów.

Giermkowi. Gołąb choć chyży jest w locie, ustępuje jednak pierwszeństwa wielu innym ptakom. Doświadczenia przyrodników

stwierdziły, że najszybszym ze wszystkich jest fregata, ptak morski, żyjący przeważnie w okolicach podzwrotnikowych. Obok szybkości lotu jest ona także i najwytrzymalszą, może bowiem zstawać w podróży choćby tydzień cały, nie odpocząwszy ani razu. Oczywiście, wielkość czyli długość skrzydeł gra bardzo ważną rolę w wytrzymałości i szybkości ruchu, co stwierdza wymiar skrzydeł fregaty, która w siągu, t. j. w szerokości rozpostartych skrzydeł, dochodzi do 14 stóp, podczas gdy wielkość jej równa się zaledwie wymiarom dużej kury domowej. To też jeden z naturalistów nazywa fregatę: „tryumfem skrzydeł i żeglarzem powietrznym, nigdy nie zwijającym żagli, panem wicherów, gardzącym każdym niebezpieczeństwem.”

Jagódka leśna miłą zrobiła nam niespodziankę, ślicznie zasuszonym bukietem kwiatów tatrzańskich, których widok przypominał nam żywo te cudowne okolice, jakie sami zwiedzaliśmy parę lat temu, a które rzeczywiście są przedmiotem zachwytu nie tylko dla nas, lecz i dla turystów cudzoziemców, porównujących nasze Karpaty z najpiękniejszymi miejscowościami świata. Zasyłając serdeczne pozdrowienia Jagódce, dziękujemy za pamięć.

Orzeł karpacki piękne ma plany, które dowodzą wyższych jego pragnień i dążeń, a zdaniem naszym, ten tylko wznieść się potrafi ponad zwykły poziom miernoty, kto szczerze dąży do wytkniętego celu, choćby ten był trudny do osiągnięcia, i wymagał dużo pracy i wysiłku woli. Każde też zajęcie może być szlachetne — o ile zacne są pobudki i jakimi człowiek je wykonuje. Z tego też względu przesyłamy Orłowi szczerze życzenia potrzebnej siły i błogosławieństwa Bożego — pewni, że z taką pomocą zdobędzie te wyższe nauki, które nie tylko jemu samemu zapewnią byt, lecz dozwolą otoczyć na starość wygodami znaną jego matkę.

Nie wszystkie farby, Marylko, pochodzą z mineralów; dużo barwników dostarczają nam soki roślinne. Fabrykacja farb wymaga znajomości chemicznych i odpowiednich przyrządów. Farby olejne są te, do których ostatecznego urobienia czyli utarcia użyte są pewnego gatunku oleje np. siemienny lub makowy. Akwarellami nazywamy farby, które rozprowadzają się z pomocą wody, tak, aby powoli wsiąkały w biały papier, na którym artysta pragnie stworzyć obrazek. Wreszcie pastelle, są to suche, miękkie jak pyłek farby, które rozcierają się na odpowiednio chropowatej powierzchni papieru. Portrety pastelowe bywają bardzo piękne, lecz łatwo ulegają zniszczeniu

Nie dziwi nas bynajmniej, że Stefan W. z takim zajęciem oddaje się naukom przyrodniczym, bowiem potrzeba poznania świata, który nas otacza, objawiała się już wybitnie u ludów starożytnych. Ale też począwszy od najprostszycich objawów życia roślinnego, do zawikłanych doświadczeń dzisiejszej chemii i fizyki, ileż mamy przed sobą tajemnic i jak gruntownego przygotowania wymaga nasz umysł, aby choć w części objąć zdołał ten wszechświat pełen cudowności.

Karolci O. Zawsze chętniej widzimy ręczne szycie aniżeli maszynowe w robótkach konkursowych, bowiem umiejętność poprawnego użycia igielki, jest podstawą każdej innej pracy wchodzącej w zakres robót ręcznych, i gdy nie każdy może posługiwać się maszyną, igielka dla każdego i w każdej okoliczności bywa dostępną. Nie odrzucamy wszakże i szycia maszynowego, jeżeli która z pańienek sama z niem sobie radę dać już umie. Życzony numer dodatku wysłany.

Własnego układu łamigłównki nadesłali: Słoń z Nubii, Giermek, Tadzio W., Gwiazdka, Anulka i Czarny rycerz. Dobre zaś rozwiązania: Orzeł karpacki, Nieznośny Chrabąszcz, Marylka, Gwiazdka i Smok.

MAGAZYN DZIECINNY.

JANINY

Marszałkowska Nr. 151.

Stale zaopatrzany w najmodniejsze ubrania dziecinne, poleca: koszule, kalesony, kołnierzyki, mankiety i szelki dla uczni oraz wszelką bieliznę dziecinną.